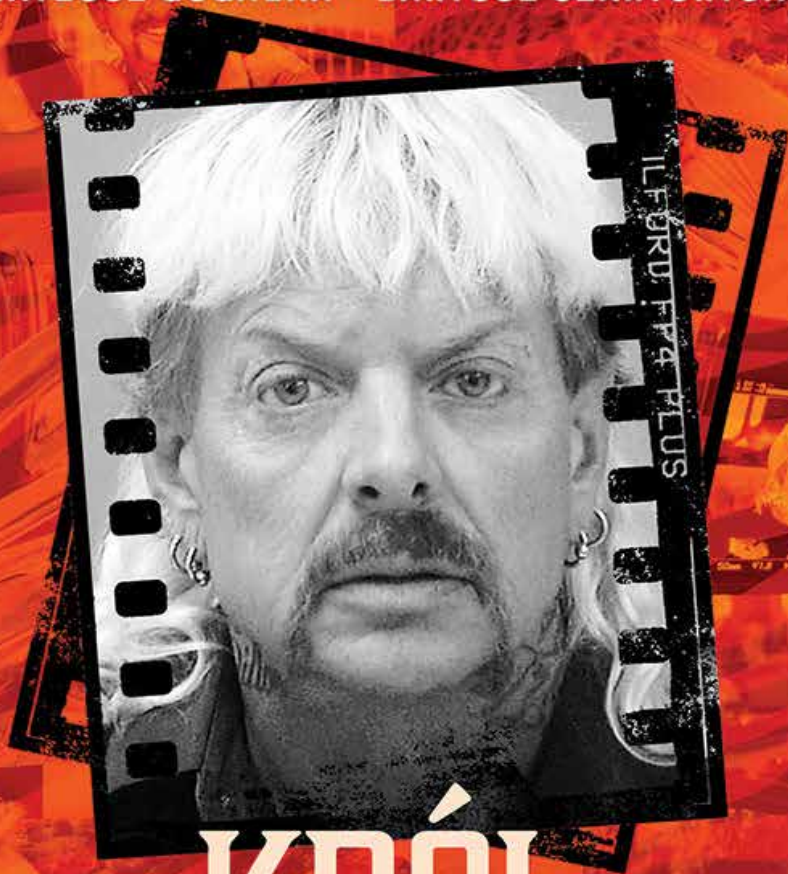


MATEUSZ GUGAŁKA • BARTOSZ CZARTORYSKI



KRÓL, TYGRYSÓW

jest nagi

TRZY LATA W EGZOTYCZNYM KRÓLESTWIE

JOE EXOTICA

SON

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

**KRÓL,
TYGRYSÓW**
jest nagi

MATEUSZ GUGAŁKA • BARTOSZ CZARTORYSKI

KRÓL, TYGRYSÓW

jest nagi

TRZY LATA W EGZOTYCZNYM KRÓLESTWIE

JOE EXOTICA

KRAKÓW 2020

Król Tygrysów jest nagi. Trzy lata w egzotycznym królestwie Joe Exotica

Copyright © by Mateusz Gugalka 2020

Copyright © by Bartosz Czaratoryski 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Grzegorz Krzymianowski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografie na okładce i wewnątrz książki – Mateusz Gugalka

Zdjęcie Joeego Exotica na I stronie okładki – Santa Rosa County Jail

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym,

również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN: 9788382100730



499

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatek, Tomasz Czernich

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędział

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labortiga.pl

Gdy dołączyłem do ekipy, Saff był zatrudniony w parku już od dłuższego czasu. Zdziwiło mnie, że mimo utraty ręki nie odszedł z pracy. Ameryka to kraj, gdzie każdego można pozwać za cokolwiek, ale nie chciał się sądzić z Joem. Co więcej, po paru dniach od amputacji z powrotem robił przy tygrysach. Zapytałem kiedyś, jak to się stało. Joe ustanowił pewne procedury bezpieczeństwa i kiedy na przykład czyszczono wybieg, zamykało się mniejszą klatkę, gdzie tygrysy czy lwy mogły czekać, aż pracownik skończy czyścić tę dużą. Zwykle Joe przy tym pomagał, bo najlepiej radził sobie z tygrysami i potrafił je zachęcić, aby przeszły do wydzielonej strefy. Potem zamykało się tę klatkę na łańcuch i zasuwawało zasuwę. Generalnie zwykle robiły to dwie osoby, aby móc się ubezpieczać. Lecz któregoś razu Saff się pospieszył. Poszedł na wybieg sam, wbrew zasadom. Podczas zamykania

klatki spadł mu łańcuch i żeby go podnieść, włożył przez kraty dłoń osłoniętą grubą, puchową rękawicą. Nie mógł jej wyjąć, bo zahaczyła o pręty. Prawdopodobnie tygrys pomyślał, że to jakaś nowa zabawka, pluszak albo coś takiego, i z całej siły uderzył łapą w wystającą dłoń.

Cios był tak mocny, że pazury doszczętnie rozorały ciało. Joe pokazał nam później nieocenzurowane nagranie z monitoringu. Dłoń Saffa zwisała na strzępkach mięśni, ledwie się trzymając. Kiedy ktoś coś spejprzył, Joe zaciągał go do sklepiku z pamiątkami, puszczał ten film i prawił kazanie, ostrzegając, co się może stać, kiedy postępujesz niezgodnie z regulaminem. Bezpieczeństwo było dla niego bardzo ważne. Co ciekawe, tamten wypadek okazał się powodem, dla którego przerwano realizację serialu o Joem.



OPERATOR POTRZEBNY OD ZARAZ

Zawsze chciałem zobaczyć Amerykę.

To marzenie może i niezbyt oryginalne, pewnie nawet dość typowe jak na kogoś, kto dorastał na styku tysięcy. Z pewnością też cokolwiek osobliwe jak na faceta, który urodził się w Nowym Jorku. Tyle że wtedy nie zdążyłem zapamiętać ani Manhattanu, ani Brooklynu, ani absolutnie niczego innego. Rodzice przylecieli ze mną z powrotem do Polski na długo przed tym, zanim nauczyłem się odróżniać Trump Tower od Empire State Building. Po całej tej imprezie ocalały u mnie jedynie tamtejszy paszport i tęsknota za niepoznanym.

Zrobiłem z nich użytek dopiero kilkanaście lat później, kiedy poleciałem na roczną wymianę licealną do Kentucky, krainy pułkownika Sandersa, smażonego kurczaka i piekielnej nudy. Bo im dalej od któregośkolwiek

wybrzeża, tym mniej Ameryka przypomina hollywoodzkie pocztówki. Dość powiedzieć, że przed laty sami dygnitarze z Kentucky nadali tej ziemi jakże chwalebne miano „stanu wiechliny łąkowej”. To trawsko, które obficie porasta tamtejsze pastwiska.

Z prawie dwumilionowej Warszawy trafiłem nagle do dziesięcioletniej górskiej miejsciny, gdzie życie nie biegnie, tylko stoi. O Middlesborough da się powiedzieć tyle ciekawego, że osada powstała w kraterze, gdzie niegdyś gruchnął meteoryt. Po zamknięciu lokalnej kopalni węgla miejscowe biznesy podupadły, choć co bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy przerzucili się na produkcję metamfetaminy. Mimo to było mi tam wspaniale, znalazłem przyjaciół, a rok minął mi jak z bicza strzelił, choć nie zaspokoił mojego ssącego głodu Ameryki. Tyle dobrego, że dzięki niezrozumiałemu dla mnie i nieujednoliconemu systemowi zliczania ocen przyporządkowano mnie do klasy wyżej. Ani myślałem protestować i przez całe to zamieszanie szkołę średnią skończyłem o rok wcześniej.

Nie miałem zamiaru się ustatkowywać. Skorzystałem z pierwszej lepszej okazji i wyruszyłem do Anglii, gdzie zakotwiczylem w Nottingham. Znalazłem tam byle jaką robotę przy burgerach, ale płacili dość, by udało mi się odłożyć na pierwszą kamerę. Była to co prawda tylko lustrzanka z niższej półki jakościowej (i, co było dla mnie wtedy najważniejsze, cenowej), lecz mogłem dzięki niej zacząć samodzielnie szlifować swoje operatorskie

i montażowe hobby, kręcąc i sklejjając potem do kupy zarejestrowane przez siebie wyimki codzienności. Przez jakiś czas jeździłem również po kraju z zaprzyjaźnionym zespołem rockowym: robiłem zdjęcia i rejestrowałem koncerty. Dość szybko zatęskniłem do starej, dobrej Warszawy, bo napadli mnie brytyjscy chuligani. Nie doznałem poważnego uszczerbku na zdrowiu, jedynie na dumie, i poczułem, że chyba jednak nie jestem w Anglii mile widziany.

Po powrocie do kraju, dzięki wyuczonemu fachowi montażysty i operatora, udało mi się przylepić do jednego z popularnych portali plotkarskich. Kręciłem bodaj wszystko, co się działo w mieście, od stołecznych wydarzeń towarzyskich, przeznaczonych niekoniecznie dla elity, do pokazów mody, ścianek i czerwonych dywanów, gdzie zjeżdżała się celebrycka śmietanka. Harowałem od świtu do zmierzchu, aby nocą montować nagrane za dnia materiały i zrywać się z wyra o czwartej nad ranem. Od siódmej musiałem już dyżurować z kamerą na ramieniu. Tyrałem po sto godzin tygodniowo i po roku musiałem powiedzieć sobie dość. Dopiero co przekroczyłem dwudziestkę, a już czułem się wypalony i chyba częściej niż o Stanach rozmyślałem wtedy o spokojnej emeryturze.

Jako że wyrabiałem normę z nadwyżką, zgromadzone oszczędności pozwoliły mi zrealizować marzenie o prawdziwej, dorosłej wyprawie do Ameryki. Kupiłem bilet i zaplanowałem podróż nie tylko palcem po mapie. Wykroiliem sobie trzy tygodnie urlopu w lipcu 2014

roku i ruszyłem do... nie, nie do Nowego Jorku, nie do Los Angeles, nie do Chicago. Poleciałem do Kentucky. Zanim powiecie, że cierpię na syndrom sztokholmski, uprzedzę, że byłem przy względnie zdrowych zmysłach. Po pierwsze znałem tamtejsze okolice, a po drugie znałem też ludzi. Mieszkał tam mój licealny kumpel Marcus, z którym miałem zrealizować projekt dokumentalny o współczesnych hipisach. Nie chciałem jechać do Ameryki ot tak, na wakacje. Skoro już ruszyłem tyłek na drugi koniec świata, wymyśliłem sobie, że przywiozę stamtąd jakiś fajowy materiał. A miałem ku temu niezłą okazję.

Mój towarzysz był niebieskim ptakiem, sypiał na tylnym siedzeniu auta i objeżdżał miejscowe komuny, których, jak się okazało, ostało się tam jeszcze całkiem sporo. Zamierzaliśmy wyruszyć z Kentucky, przejechać przez Tennessee i dotrzeć aż do San Francisco. Niestety, rzeczywistość szybko zweryfikowała nasze plany. Otóż samochód Marcusa praktycznie nie nadawał się do jazdy. Myślałem, że zostaliśmy uziemieni. Nie miałem przecież prawka, zresztą nawet gdybym mógł legalnie prowadzić, to i tak wypożyczalnie nie chciałyby ze mną gadać – nie skończyłem wymaganych dwudziestu czterech lat ani nie miałem karty kredytowej, koniecznej jako zabezpieczenie tego rodzaju transakcji. Ostatecznie, po okraszonych bluzgami próbach, udało nam się odpalić auto Marcusa.

Na trasie odwiedziliśmy kilka ciekawych miejsc, z których najlepiej zapamiętałem niemalże samowystarczalną

hipisowską farmę w Tennessee, ochrzczonej adekwatnie The Farm, którą zamieszkiwała nieźle funkcjonująca społeczność. Jej członkowie egzystowali kompletnie poza systemem. Rodzice zastępowali dzieciom nauczycieli, wspólnie uprawiano kukurydzę i dbano o wszystko, co potrzebne do życia i zaspokojenia podstawowych potrzeb. Nie miałem pojęcia, że gdziekolwiek w Stanach, kraju szalonej biurokracji i legalizmu, da się podobnie żyć, będąc zupełnie oderwanym od instytucji i struktur państwowych. Na pograniczu społeczeństwa, bez papierologii i obciążeń podatkowych.

Co ciekawe, zaraz przy tej samej ulicy – a mówimy o ciągnącej się po horyzont uklepanej wiejskiej drodze – mieściło się coś na kształt obozowiska radykalnej prawiicy. Krząłali się tam mężczyźni uzbrojeni po zęby. Nietypowi sąsiedzi zbytnio sobie jednak nie bruździli, mimo zderzenia haseł o wolnej miłości z jednej strony i deklaracji o czystości rasowej z drugiej. Nakręciliśmy to i owo, pogadaliśmy z ludźmi, a ja stopniowo zdawałem sobie sprawę, że nie ma szans, byśmy dojechali gruchotem Marcusa aż na wymarzone Zachodnie Wybrzeże i jeszcze stamtąd wrócili, tak żebym zdążył na samolot powrotny.

Dlatego, chcąc się zająć czymś ciekawym, sprawdziłem na Craigslist, tamtejszym serwisie z ogłoszeniami drobnymi, czy nie ma jakiejś fuchy dla operatora kamery. Moją uwagę przykuło zdjęcie faceta wyglądającego jak kowboj z objazdowego cyrku. Siedział pod malowniczo opadającymi witekami wierzby płaczącej, a na ramiona

spływała mu blond plereza. Otaczał go profesjonalny sprzęt filmowy z wyższej półki – kamery, lampy, inne bajery. Wysłałem zgłoszenie i dosłownie pół godziny później zadzwonił mój telefon. Miałem jechać do Oklahomy kręcić reality show.



MÓJ SZEŃ RICK

Jeśli wierzyć Google Maps, czekało nas siedemnaście godzin nieprzerwanej jazdy – z przystankami prawie doba za kółkiem. Ruszyliśmy, jak staliśmy, spakowawszy cały nasz majdan do bagażnika. Bałem się już nie tylko o to, że rzęch rozkraczy się po drodze, ale i o biednego Marcusa – naszego jedyne go kierowcę. Stąd troskliwie nalegałem na nocny postój, aby mógł zażyć chociaż kilka godzin snu.

Wjechaliśmy do Oklahomy od strony ościenne go Arkansas i krajobraz trochę mnie zaskoczył. Spodziewałem się stanu płaskiego jak naleśnik, a zobaczyłem bujnie porośnięte wzgórza. Ba, nawet Marcus zdążył zapomnieć, jak tu zielono. Lecz chyba trochę za wcześnie się ucieszyłem na ten dobry znak, bo nawigacja kazała nam zjechać z głównej drogi. Kiedy tylko znaleźliśmy się pośrodku pustkowia – jakiegokolwiek ośrodku miejskiego dzielą tu całe kilometry – prowadzący nas telefon zgubił sygnał.

Nie spodziewałem się co prawda cudów po taniej, byle jakiej komórce z Walmartu, która miała mi wystarczyć na trzy tygodnie pobytu, ale gorszego momentu na takie fochy nie mogła sobie wybrać. Na szczęście zapamiętałem, że mamy się kierować cały czas na południe, ku miasteczku Wynnewood. I choć nie obyło się bez krążenia po okolicy, wreszcie udało nam się dotrzeć na miejsce. Miałem pracować na terenie Garold Wayne Exotic Animal Memorial Park, czyli prywatnego zoo, które, przynajmniej według niepodzielnie panującego tam faceta ze zdjęcia na Craigslist, było bliższe azyłowi dla niechcianych zwierząt.

Po wyjściu z auta poczułem się, jakbym dostał po twarzy. Niemal ogłuszający hałas cykad, które hurmem wylażyły nas przywitać, nieprawdopodobnie gorąco – było ze czterdzieści stopni, buchało jak z rozgrzanego pieca – i intensywny zapach dzikich zwierząt stanowiły mieszankę nie do wytrzymania. Łeb mi pękał przez uporczywe cykanie, a osiadająca na skórze wilgoć doprowadzała mnie do szału. Czym prędzej zwinęliśmy się z parkingu i skierowaliśmy do małego domu, gdzie, jak się okazało, znajdował się sklepik z pamiątkami. Tam poznałem pracującą na kasie dziewczynę, Amber. Gdy jej powiedzieliśmy, kim jesteśmy i po co przyjechaliliśmy, zawołała faceta, który dzwonił do mnie poprzedniego dnia. Gość nazywał się Rick Kirkham i nie był typkiem ze zdjęcia, choć czarny kapeluszyk i jemu nadawał wygląd kowboja. Zdziwił się, że przyjechałem z kumplem, szczególnie że

Po wyjściu z auta poczułem się, jakbym dostał po twarzy. Niemal ogłuszający hałas cykad, które hurmem wylazły nas przywitać, nieprawdopodobnie gorąco – było ze czterdzieści stopni, buchało jak z rozgrzanego pieca – i intensywny zapach dzikich zwierząt stanowiły mieszkanekę nie do wytrzymania.

Marcus nie miał zielonego pojęcia o robocie filmowej. Dlatego sam poszedłem z Rickiem do, jak zapowiedział, studia, a mój kolega został z ludźmi od zwierząt, by się rozeznać, czy uda mu się u nich zahaczyć. Z gadki Rick wydawał mi się profesjonalistą i kiedy przypomniałem sobie sprzęt z fotografii uatrakcyjniającej ogłoszenie o pracę, pomyślałem, że nieźle mi się trafiło. Aż zobaczyłem studio.

Była to metalowa, ogrodzona płotem szopa rozmiaru stodoły, z jednej strony sąsiadująca z basenem dla dorosłego aligatora, a z innej przylegająca do wybiegu dla pięciu młodszych. Był pośród nich gwiazdor, bo mieszkał niegdyś na terenie posiadłości Michaela Jacksona, słynnego kalifornijskiego Neverlandu. Szyba zastępująca ścianę podpowiedziała mi, że kiedyś i tu, na terenie dzisiejszego studia, trzymano te drapieżne gady. Czyli część niedawnego wybiegu została odcięta, ustawiono tam komputery i zaimprovizowano studio filmowe. Wtedy zaczęło mi świtać, że dzieje się tu coś dziwnego, ale skoro już tłukliśmy się te siedemnaście godzin...

Co prawda przed przyjazdem czytałem opinie na temat parku, które również sugerowały, że nie jest to zwyczajne zoo, ale sprawiły, że poczułem się jeszcze bardziej zachęcony. Bo nawet jeśli współpraca by nie wypaliła, liczyłem, że na miejscu uda mi się nakręcić coś swojego, choćby po kryjomu. A przynajmniej spędzić ciekawie czas. Tak czy owak Rick, chcąc sprawdzić, co potrafię, posadził mnie przy komputerze, pokazał mi na

szybko, co z czym, i patrzył, jak mi idzie obsługa sprzętu. Chwilę wcześniej rozejrzałem się po studiu. Nie zobaczyłem jednak obiecanych cudów, które zapamiętałem ze zdjęcia. Żadnych fachowych lamp i same malutkie, półprofesjonalne kamery, nadające się co najwyżej na sezon wakacyjno-urlopowy, tyle że można było podpiąć do nich porządniejszy mikrofon. Miały co prawda tryb nocny i dało się nimi co nieco nakręcić, ale i tak się ucieszyłem, że zabrałem swój sprzęt do zadań bojowych. Mimo pewnych podejrzeń odnośnie do całego przedsięwzięcia machnąłem ręką na obawy, bo Rick wydał mi się człowiekiem, z którym chciałbym pracować. Miał image, miał gadane i miał doświadczenie. To mi wystarczyło.

Zostawił mnie z prostym montażem i poszedł do parku. Obok mnie siedział Sheldon, duży gość z ekipy filmowej, którego tusza dyskwalifikowała jako operatora terenowego. Sam mówił, że pewnie ze zmęczenia padłby po paru krokach, dlatego całymi dniami kleił pod dachem nagrane materiały i obsługiwał transmisje na żywo ze studia. Mój nowy towarzysz rozpływał się nad Rickiem, z zachwytem mówiąc o legendarnym statusie, jakim ten cieszył się w jego rodzinnym Dallas. Rzekomo miał na koncie niezliczone projekty, ale kiedy zajrzałem do netu, żeby potwierdzić to i owo, nie odgrzebałem tego zbyt dużo. Faktycznie pracował długie lata w telewizji, ale najlepszy okres wydawał się mieć już dawno za sobą. Słyszałem też, że nakręcono o nim dokument, bo przez kawał czasu rejestrował kamerą swoje codzienne

życie, upływające pod znakiem uzależnienia od narkotyków. Niestety nie mogłem go obejrzeć z powodu braku dostępu do sieci. Nie wykluczam, że w innym wypadku obróciłbym się na pięcie, zapakował do auta i odjechał w siną dal.

Lecz wtedy, słuchając Sheldona, pomyślałem, że trafiłem idealnie. Studio może i nie wyglądało tak imponująco jak na zdjęciu z ogłoszenia, lecz skoro mój potencjalny szef to człowiek z wizją, to pomyślałem, że faktycznie zrobimy coś ciekawego. Zresztą już przy tej pierwszej wizycie zobaczyłem, że nikt tu nie leseruje. Cała ekipa realizująca program – na którą łącznie ze mną składało się sześć osób – ledwie znalazła czas choćby się przywitać. Tylko przerwa na fajkę była święta. Z popielniczek, którymi zastawiono całe pomieszczenie, przesypywał się popiół i wszyscy dymili jak komin na Batorym, odpalając jednego papierosa od drugiego.

Posklejałem, co miałem posklejać. Rick, który zdążył wrócić do studia, przyklepał moje zadanie egzaminacyjne i dowiedziałem się, że mam robić zarówno za operatora, jak i za montażystę. Szybko wyszło bowiem na jaw, że mało kto ma pojęcie, jak w ogóle poprawnie trzymać kamerę. Sheldon ledwie ogarniał, co i jak, uczył się na bieżąco. Koniec końców siedziałem głównie przy komputerach i montowałem materiały zarejestrowane w ciągu dnia. Kamery bowiem dokumentowały codzienne życie parku. Nagrania stanowiły podstawę reality show, którego centralną postać miałem dopiero poznać.

Wkrótce Rick przyprowadził człowieka ze zdjęcia. Znałem go już zresztą ze sklepiku z pamiątkami. Twarz kowboja z blond plerezą, posługującego się wyrazistą ksywką „Tiger King”, nadrukowano na bodaj wszystko, co można tam było nabyć, od koszulek po prezerwatywy. Telewizor nadawał w kółko nakręcone przez typa teledyski. Gość przedstawił mi się jako Joe Exotic i był, nomen omen, królem tego parku.





NOC Z NOŻOWNIKIEM

Nigdy wcześniej, nie licząc pojedynczej wizyty na strzelnicy, nie widziałem broni z bliska. Mój gospodarz poprawił skórzany pas, odpiął ozdobioną cekinami kaburę z kowbojskim rewolwerem i jak gdyby nigdy nic położył ją z hukiem na blacie biurka. Trudno było mi się skupić podczas rozmowy, bo moje spojrzenie co rusz, niczym ściągane magnesem, kierowało się ku spluwie. Z czasem przekonałem się, że nie była to żadna demonstracyjna sztuczka mająca na celu zrobić na mnie wrażenie, ale faktyczna ostentacja. Tak jak my naciągamy codziennie rano skarpetki, tak Joe odruchowo zaraz po przebudzeniu zakładał pas z rewolwerem. I jeśli do tej pory wszystko, co zobaczyłem w parku, wydało mi się dziwaczne, to Joe wprowadzał tę dziwność na kolejny, wyższy poziom. Dlatego teraz, gdy próbuję sobie przypomnieć, co się wtedy dokładnie wydarzyło, wszystko zaczyna mi się

zlewać i smużyć od nadmiaru wrażeń. Pewnie też z powodu leżącej obok chłodnej spluwy, wytrącającej mnie nieco z równowagi.

Dogadaliśmy się, że zostanę na noc, rano pojedę do Kentucky po resztę swoich rzeczy i wrócę kolejnego dnia rozpocząć pracę. Po wyjściu z biura odnalazłem Marcusa, przeszliśmy się razem po parku i podjechaliśmy nad pobliskie (jak na Oklahomę, czyli czekała nas ponad godzina podróży) jezioro. Sam park wydał mi się imponujący. Zawsze lubiłem tygrysy, a tam mogłem obejrzeć z bliska kilkadziesiąt, nie licząc innych zwierząt z całego świata, jak choćby wielbłądów, krokodyli i pum. Nie sądziłem, że kiedyś przeżyję coś podobnego. Do tej pory najbliższemu przegowanemu drapieżnikowi znalazłem się, kiedy dostałem plastikową przywieszkę z tygrysem kupioną na szkolnej wycieczce do warszawskiego zoo. A tu minął mnie nawet facet niosący na rękach tygrysiątko. Coś niesamowitego! Mogłem je pogłaskać i zrobić sobie z nim zdjęcie. Perspektywa pracy w parku wydała mi się przez to oszałamiająco atrakcyjna, nawet wzięwszy pod uwagę pozoranctwo Ricka. No i etycznie też wszystko wyglądało jak najbardziej okej, bo wszyscy na każdym kroku podkreślali, że to nie zoo, tylko azyl, gdzie trafiają porzucone zwierzęta, dla których nigdzie indziej nie ma miejsca.

Traktowano tam Joego niemalże jak tygrysięgo zbawcę, który daje podopiecznym drugie, lepsze życie. Słyszałem o nim wtedy wyłącznie superlatywy, choć sam musiałem dopiero wyrobić sobie zdanie na jego temat. Wydał mi

się wówczas mało rozmownym i niekoniecznie sympatycznym facetem, który musi zawsze postawić na swoim, bo inaczej nie zaśnie. Przykładowo, kiedy przedstawiłem się Joemu, nie potrafił powtórzyć mojego imienia. Było to zrozumiałe, ale nawet kiedy posłużyłem się jego angielskim odpowiednikiem „Matt”, udał, że to również dla niego zbyt trudne. Ochrzcił mnie „Mott”. I tak już zostało. We własnym mniemaniu Joe zawsze miał rację i wszystko musiało być tak, jak sobie to wymyślił, nawet jeśli pomysł był najdurniejszy na świecie (a często był). Ostatnie zdanie koniecznie musiało należeć do niego – stąd „Mott”. Skoro go to cieszyło, nie oponowałem, tak jak i on nie oponował przeciwko mojemu zatrudnieniu. Rick był dla niego wyrocznią w kwestii spraw związanych z działaniem studia i Joe nie negował jego decyzji.

Mój szef miał być dla niego przepustką do upragnionej sławy, a mało kto miał takie parcie na szkło jak poznany przeze mnie tego dnia kowboj z Oklahomy. Rick wyjaśnił mi pokrótce, że jego ekipa kręci reality show, które potem zamierza sprzedać jakiejś stacji telewizyjnej. Poza tym codziennie transmitowano na YouTube program mający promować cały projekt. Joe uwielbiał siadać przed kamerą i pleść trzy po trzy. Mógł to być dla mnie sygnał ostrzegawczy, bo już przed przyjazdem obejrzałem fragmenty tych jego pogadarek. Zbytek je jako mało znaczące brednie, pozę i wariacki sposób na podbicie choćby kawałka internetu. Miałem przecież pracować przy poważnym przedsięwzięciu, a te sieciowe

dyrdymały kręcono niejako na boku. Chyba wypierałem czarne myśli, że coś może w tym wszystkim być nie tak. Kusila mnie wizja rychłego romansu z telewizją i przeganiałem siedzącego mi na ramieniu aniołka, chętniej słuchając podszeptów jego rogatego kolegi. Dlatego, pełen chęci i zapału, zdecydowałem się zostać na noc i nie zraziła mnie nawet podana mi na chłodno informacja, że będę dzielił pokój z najprawdziwszym nożownikiem.

Na terenie parku znajdowały się tak zwane baraki mieszkalne, czyli mobilne domki, które zajmowali pracownicy. Mój chwilowy współlokator miał na imię Daryl. Był tirowcem, dla Joego jeździł ciężarówką z mięsem dla zwierząt i podobno kiedyś na terenie parku dźgnął kogoś nożem. Byłem przekonany, że to bujda, plotki, którymi chciano nastraszyć nowego, nie przywiązywałem więc do tej informacji zbytnej wagi. Gdy przyjechaliśmy z Marcusem znad jeziora i poszliśmy do naszego domku, zastaliśmy tam Daryla. Siedział po ciemku, popijając piwko. Na stole przed nim leżał spory nóż. Zaprosił nas, żebyśmy się do niego przyłączyli, i rozpoczął naszą znajomość od opowieści, jak tym oto ostrzem pochłastał kiedyś jakiegoś faceta. Zaraz nas uspokoił, mówiąc, że jeśli nie będziemy zgrywać głupich, to nie mamy się czego obawiać z jego strony; zresztą zasadą życiową Daryla było powtarzane przezeń raz po raz: „Don't get stuck on stupid”, czyli „Nie bądźcie idiotami”.

Dobrze, że miałem ze sobą przywiezioną jeszcze z Kentucky małą pałkę teleskopową, którą podstawiałem pod

klamkę i używałem zwykle do blokowania drzwi. Zabarykadowaliśmy się i jakoś udało nam się zasnąć z nadzieją, że poranek przywitamy żywi i niepodziurawieni. Chcieliśmy czuwać na zmianę, ale po podróży byliśmy tak padnięci, że od razu zasnęliśmy. Nazajutrz, wyjeżdżając do Kentucky po rzeczy, postanowiłem, że mimo tej niezbyt przyjemnej przygody zostanę na miejscu parę dni i zobaczę, jak jest. Miałem jeszcze czas na podjęcie decyzji odnośnie do przedłużenia swojego letniego pobytu, bo od ewentualnego wylotu do Polski dzielił mnie pełny tydzień.

Ekipa podczas pracy nad codziennym show



Autokar Joego, który posiadał od czasów pokazów magicznych



Dom, który spaliliśmy, żeby zrobić miejsce pod powiększenie zoo

Koniec fragmentu

Zapraszamy na
www.labotiga.pl lub www.sqnstore.pl

SQNSTORE.PL labotiga.pl

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

